GŁOS NARODU

Ostatnia podróż S. Hedina.

1899 — 1902.

(Ciąg dalszy)

Pewnego dnia podczas podróży zaskoczył nas tak gwałtowny huragan, że cała karawana nagle zatrzymała się. Huragan taki powstaje w górze na wschodzie, uderza nagle błyskawica i w jednej chwili otacza wszystko nieprzejrzanym tumanem czerwonego i żółtego piasku i pyłu. W czasie szalejącej burzy straciłem z oczu moją karawanę i błądziłem potem dość długo, nim ją odnalazłem. Dla schronienia się przed burzą rozpięliśmy namiot, ale deszcz piasku przechodził przez płótno i zasypywał wszystko, co było w namiocie, dostawał się nam nawet do ust i trzeszczał między zębami. O gotowaniu pożywienia w czasie burzy naturalnie nie mogło być mowy, wicher bowiem dął z prędkością 47 mil na godzinę. Kubek wody i kawałek chleba stanowiły cały nasz posiłek. Wielbłądy leżały spokojnie, z szyjami zwróconemi w stronę przeciwną wiatrowi; ludzie zawinęli się jaknajszczelniej w okrycia. Zdumiewająca siła tkwi w tych burzach na pustyni, a ilość materjału, który one znoszą i unoszą, jest olbrzymia.

W Jardang-Bulak znaleźliśmy wodę: małą studnię u stóp góry, ale woda w studni była przeraźliwie słona i tylko pokrywa lodowa zawierała świeżą, słodką wodę. Stamtąd podążyliśmy wzdłuż wysokiego łożyska Kum-Darji, czasem idąc samem korytem, niekiedy wybrzeżem. Po drodze znaleźliśmy trzykrotnie szczątki naczyń glinianych, wskazujące, iż okolice te były niegdyś zamieszkane, chociaż przez całe stulecie nie zwilżyła tu ziemi kropla wody. Im bardziej posuwaliśmy się na wschód, tem straszniejszą stawała się pustynia. Na brzegach wyschłej rzeki stały tysiącletnie topole, słabe i kruche jak szkło — pomniki grobowe dawnego lasu.

Niebawem przybyliśmy do godnej uwagi oazy, Altimisz-bulak, inaczej zwanej „Sześćdziesiąt studzien", znaleźliśmy tu słoną wodę, ale za to kawały lodu w pobliżu. Te studnie słonowodne dostarczają pożywienia zaroślom komyszu i tamaryszkom. Na znacznej jeszcze odległości od tego miejsca psy nasze wytropiły stado wielbłądów, żerujące wśród krzaków, a składające się ze starego samca i pięciu młodych. Karawana zatrzymała się, a ja skradając się, podszedłem przyjrzeć się przez lunetę tym stworzeniom. Znajdowały się zaledwie o sto kroków i wyglądały wspaniale w swej jasno-brunatnej wełnianej szacie zimowej. Dwa z nich leżały spokojnie, trzy inne pasły się, a stary samiec patrzył w naszym kierunku jakgdyby podejrzewał niebezpieczeństwo.

Nasz przewodnik, Abdu-Rehim, podpełzał ku nim z cicha jak pantera. Wystrzelił, a całe stado rozpierzchło się i znikło w tumanie piasku, z wyjątkiem jednego, młodego i ładnego wielbłąda, którego mięso przydało nam się jako smaczny dodatek do naszego codziennego menu. Dziki wielbłąd jest zadziwiającem zwierzęciem; spotykaliśmy go w najstraszniejszych okolicach pustyni. Na krótki tylko czas zatrzymuje się on w oazach, zazwyczaj zaś jak okręt na bezmiernym oceanie wędruje w tę i w tamtą stronę po pustyni. Wyłania się z suchej ziemi niby duch i znika jak wiatr, wypłoszony ze spokojnego schroniska, ucieka w dzikim popłochu, nie zatrzymując się dni i noce.

W Altimisz-Bulak urządziliśmy dłuższy postój; stamtąd miałem zamiar przejść pustynię w kierunku południowym. Przestrzeń do Kara-Koszum, gdzie spodziewaliśmy się spotkać zwierzynę, moglibyśmy przebyć w cią-

gu tygodnia; gdyby nawet wyczerpały się zapasy wody, uważaliśmy za mało prawdopodobne, ażebyśmy mieli zginąć z pragnienia.

Pomiędzy innemi zapasami zabraliśmy cztery wory z lodem, ale pomimo największych starań, ażeby lód ochronić od słońca, dwa pełne wiadra wody wyciekły nam przez pierwszych parę dni. W niewielkiej odległości od Altimisz-Bulak byliśmy znowu pośrodku pustyni. Powierzchnia kraju zaczęła sią stopniowo obniżać w kierunku starego jaziora Nob-Nor. które wskazywał nam zdala ciemny pas lasu. Znaleźliśmy tu takie mnóstwo muszli, że ziemia, pokryta niemi, wydawała się prawie białą! tu też Czernow i Ordek (jeden z ludzi, których zabrałem z Janghi-koll) odkryli ruiny kilku starych domów. Belki i inne części tych drewnianych szczątków leżały porozrzucane na ziemi, nawpół zasypane piaskiem. Zabraliśmy kilka kawałków rzeźby z tych domów, nieco monet chińskich, naczynia ofiarne, toporki itp.

Dachy domów leżały na stosie, przewrócone zachodnią stroną, pod przykryciem innych części budowli. Niema wątpliwości, że zostały one zniszczone przez burzę, której nie mogły się oprzeć. Szczupły zapas wody nie pozwolił nam dłużej niż 24 godziny przebywać w tem miejscu; musieliśmy ruszyć dalej ku południowi, zdążyłem jednak odfotografować ruiny i wykonać pomiary miejscowości.

Tego wieczoru, zamierzając wykopać studnię na nowem obozowisku, ażeby dostać wody dla wielbłądów, spostrzegliśmy, żeśmy w ruinach przez zapomnienie zostawili łopaty. Ponieważ były to narzędzia wielkiego dla nas znaczenia, wysłałem po nie Ordeka. Wysłaniec ruszył nazajutrz rano, my zaś podążyliśmy w dalszą drogę. Wkrótce po jego wyjeździe zaskoczyła nas gwałtowna burza, byliśmy więc w obawie o los Ordeka. Ale instynkt topograficzny nie zawiódł go. Pomimo, że stracił nasze ślady, dotarł pomyślnie do ruin i powróciwszy z łopatami, przyniósł nadto kilka rzeźb z drzewa, daleko dokładniej wykonanych, niż te, któreśmy przedtem zabrali.

Zapasy wody kończyły się prawie, gdyśmy przybyli nad brzeg zupełnie nowego jeziora, rozciągającego się na północ od błot Kara-koszum. Jezioro to zasila nowa odnoga Tarimu, odłączająca się od tej rzeki w Szirgehchappgan. Podróż powrotną odbyliśmy w czółnach najpierw w górę nowej odnogi, potem po Tarimie i sieci wodnej, tworzącej deltę tej rzeki. Dwudziestopięciodniowa ta podróż byłaby bardzo przyjemną, gdyby nie komary, które co wieczór dokuczały nam niemiłosiernie. Naszkicowałem dokładne mapy jezior, odkrytych w poprzedniej podróży, mianowicie: Avullu-koll, Kara-koll, Tayek-koll, Arka-koll i Czivilik-koll, oraz kilku innych, które przedtem uszły mojej uwagi.

8 maja ujrzeliśmy znowu Janhi-koll. Odesłałem stąd konie i muły pod strażą kozaka Czerdona do Semirliku, gdzie miały też przybyć wielbłądy, prowadzone przez Czernowa i Islam-Bai; ja tymczasem ciągnąłem dalej podróż po rzece wraz z Syrkinem i Szagdurem, ażeby ukończyć mapy Tarimu.

Chaty nasze stały próżne i opuszczone; kupcy miejscowi oddalili się w poszukiwaniu korzystniejszych rynków, ale ponieważ miejscu temu należało dać jakąś nazwę dla rozpoznania w przyszłości, zostało ono nazwane: „Tura-sallgany“, t. j. domy zbudowane przez Europejczyków. Ale najbliższy wylew wiosny rozszerzył się na cały brzeg rzeki i chaty nasze zniknęły z powierzchni ziemi.

Ku końcowi maja zostaliśmy otoczeni prawie chmurami komarów i gzów; gorąco z każdem dniem stawało się coraz większe. 25 maja popłynąłem do jeziora Begplik-Koll w celu dokonania pomiarów głębokości. Olbrzymia płachta wody była tak gładka jak zwierciadło i z dokładnością aparatu fotograficznego odbijała diuny.

Pod wieczór gdym skończył pracę, wylądowaliśmy na zachodniem wybrzeżu jeziora dla wypoczynku. Zaledwieśmy się rozgościli, Kirghi-Pawan, jeden z mych dawnych przyjaciół, zamieszkały w tej okolicy, przejrzawszy się wschodniej stronie horyzontu wykrzyknął nagle:

—„Kara-buran?“ (Czarna burza).

Oznacza to burzę w najgorszym gatunku. W jednej chwili atramentowo czarny słup chmury wzniósł się jak wieża na horyzoncie i wygiął naprzód po przez pustynię, podczas gdy inne podobne słupy wyskoczyły z jego boków, niby podtrzymujące go filary. Wszystko to wkrótce zbiło się w jeden nieprzerwany wał, wznoszący się coraz wyżej i wyżej. Jezioro jednak pomimo nadciągającej burzy, zachowało ciągle swój zwierciadlany spokój. Ponieważ jednak mieliśmy jeszcze znaczną przestrzeń do przebycia, zanim zdołaliśmy wejść do kanału, prowadzącego do Tarimu, kazałem wyruszać natychmiast. Ludzie żeglowali z takim rozpaczliwym pośpiechem, iż zdawało mi się, że lada chwila usłyszę trzask łamiących się wioseł. Grzbiety żeglarzy były zgięte w kabłąk, gdyśmy pędzili na wyścigi z burzą po drzemiącej fali wodnej, tworząc dokoła przędzę piany, wznoszącą się wysoko ponad burty łodzi. Płynęliśmy z szybkością $5^1/_2$ mili na godzinę. Atmosfera była jeszcze spokojna, niebawem jednak spostrzegliśmy, że burza zbliża się ze złowrogą szybkością, przedsięwzięliśmy więc środki ostrożności wobec przerażających zmian, jakie dokoła nas zachodziły. Chwila była wspaniała, choć groźna.

— Już podchodzi do diun! — krzyknął jeden z ludzi.

Spojrzawszy w górę, zobaczyłem znikające zarysy diun i w jednej chwili cały ich labirynt wraz z wybrzeżem jeziora zanurzył się w gęstej żółto-szarej mgle.

— Wiosłować!... prędzej!... krzyknąłem moi ludzi.

— Ałłach! — brzmiała odpowiedź, nabożnym, a zarazem przerażonym wypowiedziana głosem.

Od strony wschodnio-północno-wschodniej powstkły pierwsze wybuchy wichru. Z potężnym ry-

kiem „czarna burza“ uderzyła na wodę, która, sycząc i kipiąc, tworzyła wielkie słupy białej piany. Łódź nasza płynęła z przerażającą szybkością — 7 mil na godzinę; już tylko o jedną milę byliśmy oddaleni od północnego brzegu.

— Na Ałłacha! nie dopłyniemy! ktoś krzyknął.

Właśnie w tej chwili, gdy burzą chwytała nas w swoje objęcia i byłaby niechybnie wywróciła nasz wątły statek, gdybyśmy nie użyli wszelkich sił, ażeby się utrzymać — zostaliśmy pogrążeni w gęstej mgle delikatnego pyłu. Otoczyła nas ciemność, wśród której mogliśmy jedynie dojrzeć najbliższą falę, rzucającą w górę i w dół naszą łódką jak słomką. Goniliśmy już resztkami sił, gdy wreszcie ujrzeliśmy drzewo tamaryszkowe, wynurzające się wśród mgły. Łodzie były tak pełne wody, że lada chwila mogły pójść na dno szczęściem, że głębokość tych jezior wogóle nie przewyższa 36 stóp.

(C. d. n.)

DWÓR HABSBURGÓW.

Małżeństwa i katastrofy.

„...Tu felix Austria nube!...“

Na szyderstwo zakrawają dziś te słowa, które w przeszłości zaznaczały potęgę i blask d mu austrjackiego. Już arcyksiązę Franciszek-Ferdynand — jak nadmieniłem — zauważył, iż nie danem jest obecnie rodzinie cesarskiej zawierać politycznych związków małżeńskich. Religja stoi tu w pewnej mierze na przeszkodzie, ale i bez tego małżeństwa nie przyniosłyby już ani nowych posiadłości, ani przymierzy, Ogólny pod tym względem obyczaj zmienił się z gruntu. Od korzystnych jednak politycznie małżeństw do nieprawidłowych odległość jest znaczna, a przecież przebiegł ją ze zdumiewającą i niezawodnie pożałowania godną szybkością panujący dom, ostatni, o którym to przypuścić można było, habsbursko-lotaryński. Potęga i siła państwa zespoliły się tutaj z majestatem i urokiem panującego domu; więcej też, niż gdziekolwiek uczyniły im ujmę małżeństwa, zawierane poza majestatem i bez uroku. Zbytecznie spospolitowały one ten majestat „cui major e longiquo reverentia.

Młodziutka, żywego usposobienia, nie piękna, ale milutka wnuczka cesarza zrobiła początek. Ku niemałemu zdziwieniu dowiedział się w roku 1893 Wiedeń, że córka arcyksiężnej Gizelli i ks. Leopolda bawerskiego, księżniczka Elżbieta-Marja-Augusta, musi zaślubić bawarskiego porucznika barona Seefrieda. Zdumiewającem było zwłaszcza to przymusowe położenie, ta konieczność zażegnania „periculum“ niesłychanym mezaljansem. Ślub, za staraniem przerażonej zarówno, jak nieostrożnej matki, odbył się w Genui; księżniczka straciła wszystkie swoje tytuły i przywileje; ale w końcu dobry „dziadzio“ dał się przebłagać, do czego podobno użyto pani Schratt. Porucznik Seefried został przeniesiony do armji austrjacko-węgierskiej; cesarz Franciszek Józef pomyślał o wyposażeniu zakochanej pary, która zamieszkała w Znaimie, siedzibie pułku, w którym służy małżonek wnuczki monarcgy, Odwiedza ona od czasu do czasu w Wiedniu dziadka, nię zamieszkuje jednak w Burgu, ale w hotelu. Wszystko się ułożyło, przy pomocy klasycznej „Gemüthlichkeit“.

Potem wdowieńsswo sprzykrzyło się arcyksiężnej Stefanji. Po tragicznym zgonie małżonka, arcyksięcia Rudolfa, nie mogła znaleść sobie właściwego miejsca ani na dworze, ani poza dworem. Próbowała potroszę wszystkiego, od sportu do literatury, i koczujący prowadziła żywot, Już za życia męża zetknęła się była z polskiem towarzystwem i wraz z arcyksięciem odbyła podróż do Galicji. Pamiętnem pozostało przyjęcie pary arcyksiążęcej w Krzeszowicach u hrabstwa Potockich. Gospodarzem był nieodżałowanej pamięci Artur Potocki, zaszczycony przyjaźnią następcy tronu, jego towarzysz myśliwski i częsty u niego gość w Laksenburgu. Arcyksiężna Stefanja odwiedzała nieraz dom książęcy Marcelostwa Czartoryskich na Woli pod Krakowem, albowiem z panieńskich lat znała księżnę Zuzannę, z domu Chimay, niezwykłego wdzięku i wytwornych przymiotów panią, która była dawniej damą honorową matki arcyksiężnej, królowej belgijskiej. Po owdowieniu, arcyksiężna Stefanja kilkakrotnie przebywała w Łańcucie u hr. Romanów Potockich i tam poznała wiele polskich rodzin. Wreszcie w. ochmistrzem arcyksiężnej wdowy mianowany został hr. Edward Chołoniewski. Nie brakło jej więc ani polskich wrażeń, ani polskich stosunków, ale w ręce madjara złożyła swoje godności i przyszłość, gdy się jej wdowieństwo sprzykrzyło. Za zezwoleniem cesarza zaślubiła hr. Elmira Lonyaya, węgierskiego szlachcica, którego poznała podczas licznych podróży w Londynie, gdzie był członkiem ambasady austrjacko-węgierskiej. Nikt sobie nie mógł zdać sprawy z tego postanowienia wdowy następcy tronu, najmniej arcyksiężne, gdy im oświadczyła, że to związek siostry z bratem. Przyszło w końcu przypisać rzecz niespokojnej nieco myśli arcyksiężnej, która odważnie postradała naraz wszystkie tytuły, godności i stanowisko na dworze, chociaż przestrzegano ją, iż zatęskni za niemi. I istotnie, zaledwie zawarła w Miramar związek małżeński

i została hrabiną Lonyay, główną jej troską stały się owe tytuły, godności i ranga przed chwilą poświęcone, a staraniem jej było usilnem zachować przynajmniej ich pozory. Dziwny zaiste objaw psychologiczny, oraz zmienności upodobań kobiecych. Bezowocne zabiegi hrabiny Lonyay pozostania arcyksiężną, a przynajmniej księżną belgijską, zapełniły odtąd jej życie. Zakończyło je na razie



GÓRA ZAMKOWA W DOBCZYCACH.

wielce nieprzyjemne zajście z ojcem, królem Leopoldem, na pogrzebie matki.

Hrabina Lonyay w dalszym ciągu nie może sobie znaleźć miejsca, zmienia co chwila siedziby, wynajmuje zamki, między innemi w Austerlitz, na to, aby w nich nie przebywać; przepędza część roku na Rivierze; teraz zamyśla osiąść wraz z małżonkiem w Budapeszcie i prawdopodobnie chce zostać dobrą węgierką. Będzie to może nareszcie dobiciem do portu! Rozgłoszone przez dzienniki rozejście się stadła małżeńskiego nie sprawdziło się; zamiennem jest jednak, iż z łatwością ogół dał wiarę pogłosce. Przyczyni się ona — jeżeli istotnie zachodziła tego potrzeba — do ustalenia związku, gdyż zobowiąże go do wytrwania.

Jedyna córka arc. Rudolfa i arc. Stefanji, arc. Elżbieta, urodzona w Laxenburgu 2-go września 1883 r., od pierwszego ukazania się w świecie pociągnęła wszystkich do siebie, z wdziękiem albowiem ojca łączy słodycz niezwykłą; zgrabna, zwinna, wysmukła, nieco szczupła, wątła, jakby przeźroczysta, ma w sobie niemal coś nieziemskiego, a przytem wolna od wszelkiej przesady. Chciano w bardzo młodym wieku wydać ją za księcia Wirtemberskiego. Było to w Ischl. Zaprządz kazała, wsiadła na kozioł i dalej do willi dobrego dziadzi; padła do nóg Franciszka-Józefa: „Ratuj, dziadziu! — zawołała. — Chcą mnie wydać za mąż, ale ja nie chcę“. Cesarz wysłuchał błagań ukochanej wnuczki. Po paru latach serce jej odezwało się i arcyksiężniczka pokochała swojego karnawałowego tancerza, ks. Windischgrätza, oficera gwardji, zacnego, znanego z pobożności, cnót chrześcijańskich i obywatelskich rodu. Znowu trzeba było udać się do „dziadzi“; zezwolił tem chętniej, że przeszkody nie było, gdyż rodzina Windischgrätzów należy do zmedjatyzowanych, zatem „równość“ urodzenia posiadających. Ślub się odbył ze zwykłym ceremonjałem. W trakcie tego, ku wielkiemu przerażeniu dworu i jego dygnitarzy, ktoś biegły w trzech rzeczach dociekł, że ta gałąź Windischgrätzów nie posiada przywilejów medjatyzacji, albowiem przywiązane są wyłącznie do wioski w Niemczech, która była kiedyś państewkiem, a którą dziedziczyć może tylko starsza linja, idąca od słynnego feldmarszałka. Ambaras niemały! Zarazem nowy dowód błahości owego równego urodzenia, pochodzącego od medjatyzacji. Cesarz w gruncie był szczęśliwym, że pomyłka odkrytą została po ślubie; natychmiast zapobiegł jej, o ile się dało, nadając naraz sześciu Windischgrätzom tytuł „Durchlaucht“, który posiadała tylko starsza linja i pozostawił wnuczce rangę i prerogatywy arcyksiążęce, chociaż zupełnie poprawnem to nie jest. Młoda para osiadła w Pradze, gdzie książę Windischgrätz pełni służbę wojskową. Arcyks. Elżbieta, idąc za skłonnością serca, postąpiła nietylko zacnie, ale rozumnie, gdyż niczego lepszego w danych warunkach nie mogła się spodziewać. Nikomu zaś ani niczemu ujmy nie uczyniła, krzywdy państwu nie wyrządziła.

Nie można tego powiedzieć o małżeństwie arc. Franciszka - Ferdynanda z hr. Zofją Chotek. Następca tronu, zawierając związek nieprawidłowy, nierówny, podporządkował swej skłonności sprawę państwową i dlatego ze wszystkich małżeństw na dworze Habsburgów, to może mieć najdonioślejsze następstwa i największe też wywołało wrażenie. Mówiłem już o niem, a życzyć tylko należy, aby w przyszłości nie zgotowało kłopotów i nie wywołało zajść. Księżna Hohenberg wielkim taktem złagodzić potrafi zapewne wiele i wiele usunie trudności; ale nie wszystko zależy od niej. Dowiaduję się i zapisuję, z prawdziwem zadowoleniem, że zgodziła się przyjąć protektorat nad polskiem „Towarzystwem pod opieką św. Wincentego à Paulo“, założonem przy polskim kościele w Wiedniu. Będzie to jedno z pierwszych jej wystąpień publicznych.

Ostronosy chowane w mieszkaniach.

Ostronos (*Nasua*) jest niezbyt dużem zwierzęciem (dług. 60 cm. + 45 cm. ogon), z rodziny niedźwiedzi; od właściwych niedźwiedzi różni się nietylko znacznie mniejszym wzrostem, ale nadto posiadaniem długiego ogona i nosem, wydłużonym w trębowaty ruchomy ryjek. Zamieszkuje lasy Ameryki Południowej, łazi dobrze po drzewach, ale żeruje także i na ziemi, ryjąc ją nosem w poszukiwaniu korzonków, robaków pędraków i t. p, Żywi się zarówno małemi zwierzętami, jak i roślinami. Jest wogóle dość czujny i trudny do podejścia, ale schwytany oswaja się bardzo łatwo, nie sprawia wiele kłopotu z żywieniem i pielęgnowaniem i z tego powodu nadaje się do chowania w domu. W dodatku, jak się przekona o, ostronosy znoszą dobrze klimat Europy (zwłaszcza południowej), niejednokrotnie też były przywożone do naszej części świata.

W ostatnich czasach robili spostrzeż nia nad chowanymi ostronosami prof. Möller, John Leckie i inni, tutaj chcemy podać naszym czytelnikom parę ciekawych szczegółów z tych spostrzeżeń.

Ostronos obserwowany przez Leckiego, należał do gatunku zwanego towarzyskim (*Nasua sociabis*). W niewoli tak samo jak i na swobodzie odznaczał się on przez cały dzień nadzwyczajną ruchliwością, z wyjątkiem paru godzin w południe, kiedy oddawał się wypoczynkowi. Poza tem włóczył się bezustannie po całem mieszkaniu, trzymając swój długi ogon, wzniesiony pionowo do góry. Węszył wciąż i próbował nosem wszystkich przedmiotów, ruszał nawet książki, przewracał drobiazgi, stojące w miejscach, do których mógł dosięgnąć. Był w przyjaźni z kotami i bawił się z nimi bardzo chętnie; psów natomiast nie lubił, ale nie obawiał się ich wcale tak dalece, że poważał się nawet odbierać im pokarm z pyska. Ze wszystkimi domownikami żył w dobrych stosunkach i nie rzucał się na nikogo; należało tylko być ostrożnym, gdy jadł, wówczas bowiem wpadał bardzo łatwo w gniew i kąsał, skoro tylko mu się wydało, że ktoś chce mu odebrać jedzenie. Ogromnie lubił pieszczoty i kwiczał jak prosię z zadowolenia, gdy kto drapał go po grzbiecie, pochylał przytem głowę, wyginał grzbiet, jak kot i ocierał się o osobę, która robiła mu przyjemność. Pana swego znał dobrze i był nawet do niego tak przywiązany, ze w czasie jego nieobecności okazywał wyraźnie nieukontentowanie. Zresztą odznaczał się małą pojętnością i małem posłuszeństwem, gdy mu się czego gwałtownie zachciało, nawet kij nie zawsze mógł go powstrzymać od doprowadzenia do skutku swoich zamiarów.

Inni badacze opowiadają o ostronosach, które znały swe nazwisko, umiały aportować jak pies, rzucać się na ziemię jak martwe, na odgłos wystrzału i t. p., były to jednak wyjątki, na ogół zaś stworzenia te odznaczają się bardzo małą pojętnością i nie daje się ich nauczyć żadnych sztuk.



„WYZWOLENIE" WYSPIAŃSKIEGO.

Pani Walewska w roli Hostii.

Leckie chowanego przez siebie ostronosa żywił owocami i jarzynami, dając mu także surowe i gotowane mięso, oraz wodę w wielkiej obfitości. Ostronos jego odznaczał się wielką żarłocznością

i nie poprzestając na tem, co dostawał, myszkował wciąż po domu, wyszukując, co się tylko dało zjeść. Wszystkie zapasy trzeba było starannie chować i zamykać przed nim; nawet drób i jaja nie był bezpieczne od jego odwiedzin. Smakowały mu również napoje wyskokowe, a gdy mu dawano biszkopt, umaczony w araku, wpadał w nadzwyczajne podniecenie i stawał się jeszcze ruchliwszy niż zwykle.

Ze względu na częste dobieranie się do drobiu, trzeba go było wziąć na łańcuch, a ten przymusowy pobyt na jednem miejscu tak go męczył, że zginął w krótkim czasie.

HOTEL BABILON

PRZEZ ARNOLDA BENETT'A.

(Ciąg dalszy).

Julian zbliżył się, niosąc befsztyk na półmisku; Racksole próbował dojrzeć wyraz jego oczu, ale kelner trzymał uparcie spuszczone powieki. Zabrano się do obiadu.

— Ach! Ojcze! — zawołała Nella, — jakże dużo nabrałeś na talerz musztardy!

— Czy tak? — odpowiedział zagadniony i rzucił przypadkiem wzrok w lustro, wiszące po lewej ręce, między dwoma oknami. Ujrzał w zwierciadle odbicie Juliana, który stał za jego krzesłem i mrugał znacząco dając znaki panu Dimmock, mającemu na imię chrzestne Reginald.

Amerykanin, zamyślony, utkwił oczy w musztardzie; zastanawiał się, że może istotnie przygotował sobie za dużo musztardy do spożycia.

III.

Godzina trzecia po północy.

Teodor Racksole zauważył, że pan Dimmock udzielał niechętnie szczegółów o swem przeszłym życiu i przyszłych zamiarach; ojciec Nelli dziwił się, że człowiek w tak młodym wieku mógł otrzymać stanowisko towarzysza księcia Ariberta von Rüdesheim: zadawał sobie w duchu pytanie, kto mógł być ów książe von Rüdesheim? Milioner pamiętał, że kiedyś słyszał o tem księstwie; przyprzypuszczał, że to jedno z mało znanych państewek niemieckich, w których pięć szóste poddanych składa dwór panującego, a reszta zajmuje posady węglarzy i właścicieli domów zajezdnych.

Podczas obiadu Racksole był milczący; dochodził w myśli znaczenia tajemniczych znaków, dawanych przez Juliana Dimmockowi; gdy jednak po lodach podano czarną kawę, milioner rozważać zaczął, że w interesie nabytego hotelu wypada dowiedzieć się czegoś więcej o przyjacielu jego córki. Nigdy nie zaprzeczał Nelli prawa zawierania wedle woli stosunków przyjaźni; zostawiał jej pod tym względem zupełną swobodę, polegając na rozsądku młodej dziewczyny, mającym ją strzedz od niepożądanych znajomości, dziś jednak, oprócz tajemnych znaków Juliana, niezrozumiałem było dla niego zachowanie względem gościa Nelli, która tłumione rozdrażnienie starała się pokryć chęcią przypodobania się i zjednania Dimmocka.

— Mówiła mi córka — rzekł Racksole — że pan jesteś towarzyszem księcia Ariberta von Rüdesheim. Wybacz nieświadomość Amerykanina w tym względzie i zechciej objaśnić mnie, czy książę Aribert rządzi krajem, czy jest tem, co u was w Europie zowią księciem panującym?

— Jego wysokość nie jest księciem panującym i nie będzie nim prawdopodobnie nigdy — odparł Dimmock. — Tron wielkoksiążęcy w Rüdesheim zajmuje synowiec jego wysokości, wielki książę Eugeniusz.

— Synowiec? — zawołała Nella zdziwiona.

— Tak, kochana pani.

— Ależ książę Aribert musi być jeszcze młody?

— Książe, przez dziwny zbieg okoliczności, zdarzający się często w książęcych rodach jest w tym samym wieku, co Wielki książę. Ojciec Jego wysokości zawierał dwukrotne związki małżeńskie, stąd mała różnica wieku synowca ze stryjem.

— Jakto to zabawne być stryjem synowca, niewiele młodszego od siebie! — zawołała Nella.

— Przypuszczać jednak należy, że ów stosunek nie bardzo przyjemny dla księcia Ariberta, który musi okazywać uległość i być posłuszny synowcowi — zauważył Racksole.

— Wielki książę i pan mój, kochają się jak rodzeni bracia. — Teraz, naturalnie, książę Aribert nosi tytuł następcy tronu, — ale, jak zapewne państwo wiecie, Wielki książę ma zaślubić niebawem kuzynkę cesarza niemieckiego; w ten sposób prawa do tronu przejdą na spadkobierców w prostej linii.

To rzekłszy, Dimmock zatrzymał się, wzruszając ramionami; po chwili mówił dalej:

— Wielki książę wolałby daleko widzieć księcia Ariberta następcą tronu; niechętnie nakłada na siebie okowy małżeńskie. Mówiąc między nami, uważa on małżeństwo za ciężką niewolę, ale jako panujący, ożenić się musi. Stanowi to obowiązek, ciążący na nim jako na księciu von Ridesheim.

— Jak rozległe jest jego księstwo? — zagadnął Racksolo.

— Ojcze! — zawołała, śmiejąc się, Nella — nie powinieneś zadawać tak niedyskretnego pytania. Przepisy etykiety wzbraniają pytać o rozległość udzielonych księstw niemieckich.

— Pewny jestem — rzekł Dimmock — że Wielki książę, zarówno jak inni, żartuje z obszaru swego terytoryum. Zapomniałem, jaka dokładna jego przestrzeń, wiem tylko, żeśmy z księciem Aribertem dnia jednego przeszli wszesz i wzdłuż ową posiadłość.

— Wielki książę nie może zatem odbywać dalekich podróży po swojem państwie; nie ma prawa utrzymywać, że nie widzi w niem zachodu słońca.

— Chyba, gdy niebo zasnute chmurami... — wtrąciła Nella. — Czy wielki książę chętnie przesiaduje w domu?

— Przeciwnie: lubi bardzo podróże, więcej nawet od księcia Ariberta. Powiem nawet państwu, czego nikt po za obrębem hotelu nie domyśla się jeszcze, że jego królewska wysokość wielki książę przyjeżdża tu jutro ze swoją świtą.

— Do Londynu? — pytała Nella.

— Tak jest,

— Do tego hotelu?

— Tak.

— Oh! jakże cieszę się z tej wiadomości!

— Dlatego wasz pokorny sługa jest tu dziś w awangardzie...

— Rozumiałem — przerwał Racksole — że pan piastujesz godność towarzysza księcia Alberta, stryja.

— Nie inaczej. Książę Albert przyjeżdża również do Londynu. Wielki książę i mój pan mają do załatwienia ważne interesy, tyczące się zamierzonego małżeństwa księcia Eugeniusza.

— Na zajmującego tak poufne stanowisko jesteś, mój panie, bardzo gadatliwy — pomyślał Racksole, a głośno dodał: — Możebyśmy wypili kawę na tarasie?

Gdy przechodzili przez salę jadalną, Julian zatrzymał Dimmocka i podał mu list zapieczętowany.

— Przyniósł go posłaniec — oświadczył.

Nella, zatrzymawszy się w tyle z ojcem, szepnęła mu do ucha:

— Zostaw mnie krótką chwilę samą z tym chłopcem, kochany papo.

— Jestem posłuszny — odparł Rachsole — Rób ze mną co zechcesz. Przez ten czas pójdę rozejrzeć się w moim hotelu.

To rzekłszy, wyszedł zaraz.

Nella i Dimmock usiedli na werandzie, zarządawszy chłodzących napojów. Wśród zieleni krzewów kwitnących, ładną we dwoje tworzyli parę, a ludzie przechodząc, czynili pocichu uwagi, że poufna rozmowa młodych, jest zapewne początkiem zawiązującego się romansu. Odgadli może, ale tylko dokładniejsza znajomość charakteru Nelli Racksole mogła dać podstawę do wniosków, jaki ów romans przybierze kierunek.

Julian przynosił żądane napoje i o dziewiątej podał towarzyszowi księcia von Rüdesheim list drugi; przepraszając, stokrotnie, Reginald Dimmock oświadczył, iż musi w ważnym interesie swego dostojnego pana oddalić się bezzwłocznie; pytał, czy ma wezwać pana Rocksole, czy też córkę odprowadzić do ojca. Nella odpowiedziała żartobliwie, że nie zwykła używać eskorty i sama trafi do swego pokoju. Dodała, że tak ona jak i jej ojciec w stosunku wzajemnym zachowują zupełną niezawisłość.

Przez ten czas Teodor Racksole podążał do prywatnego mieszkania pana Babilon. Idąc tam, zauważył, że wieść o zmianie właściciela doszła do najniższych warstw służby hotelowej i po korytarzach była przedmiotem przyciszonych gawędek.

— Zechciej pan przyjąć cygaro oraz kieliszek w Europie najstarszego koniaku — prosił uprzejmy gospodarz.

Niebawem dwaj mężczyźni zajęci byli żywą rozmową. Feliksa Babilon zdumiewała zdolność Racksola wtajemniczenia się we wszystkie szczegóły zarządu hotelem, a Racksole uznawał Babilona mistrzem w umiejętności kierowania podobnym zakładem. Amerykanin dotychczas nieprzypuszczał. iżby owo kierownictwo mogło budzić zajęcie; przekonał się jednak, że niedostatecznie cenił umiejętność prowadzenia spraw tego rodzaju. Pole działania w hotelu Babilon było tak rozległe, iż mimo genialnego ducha organizacyi Racksola, obeznanie się ze szczegółami zarządu zajęło mu całe pół godziny. Liczne były rozgałęzienia tej działalności, skomplikowaną zwłaszcza wydała się milionerowi manipulacya zaopatrywania kuchni w surowe produkta, odpowiednio do ilości porcyj, wydawanych w sali jadalnej i w pokojach gościnnych. Wywołało to między dawnym a nowym właścicielem ożywioną dysputę, która tak długo trwała, że Babilon zapomniawszy się na chwilę ziewnął głośno.

Racksole spojrzał na kosztowny zegar kominkowy.

— Do licha! — zawołal — godzina trzecia. Wybacz, panie Babilon, że cię przetrzymałem do tak późnej pory.

— Od dawna nie spędziłem równie przyjemnego wieczoru — zapewniał gospodarz. — Pozwoliłeś mi pan dosiąść ulubionego konika i mnie raczej wypada przeprosić pana za nadużycie jego cierpliwości. Radbym tylko zadać jedno jeszcze pytanie — dodał. — Czy pan kiedy zarządzałeś hotelem?

— Nigdy — zaprzeczył Racksole, wstając z fotelu.

— W takim razie chybiłeś pan przeznaczenia swego; mógłbyś być najznakomitszym zarządcą hotelowym, przewyższającym mnie nawet w sztuce, w której dotychczas nikt nie dorównał mi jeszcze.

— Pochlebiasz pan mojej próżności — odparł śmiejąc się Amerykanin.

— Ja pochlebiam? Nie znasz mnie pan. Nie pochlebiam nikomu, za wyjątkiem chyba gości wy-

soko położonych, co w takim razie odbijam z rachunku...

— Mówiąc o wysoko położonych gościach, słyszałem, że dwóch książąt niemieckich ma tu przybyć jutro.

— Wiesz pan na pewno?

— Jak przyjąć ich wypada? Czy należy witać uroczyście, składając u wejścia ukłony, lub coś podobnego?

— Nie potrzeba; chyba, że poznać ich życzysz sobie koniecznie. Tegoczesnych właścicieli hotelów nie można równać z oberżystami wieków średnich; nie widują ich nawet książęta, jeśli nie zachodzi jaka okoliczność nadzwyczajna. Lubo wielki książę von Rüdesheim i książę Aribert zaszczycali mnie poprzednio kilkakrotnie obecnością swoją, nie spotykałem ich nigdy. Należy przekonać się tylko, czy poczynione odpowiednie przygotowania.

Rozmawiali jeszcze chwilę, poczem Racksole pożegnał gospodarza, życząc dobrej nocy.

— Pozwól pan, że cię odprowadzę do numeru; windy muszą już być pozamykane a korytarze puste.

— Dziękuję — odparł Racksole. — Wolę sam krążyć po własnym hotelu. Trafię do zajmowanego pokoju.

Mimo tego zapewnienia, milioner wszedłszy na korytarze, błądzić zaczął, jak w labiryncie. Wiedział, że mieszka pod numerem 107, ale zapomniał, czy pokój ten leżał na pierwszem, czy na drugim piętrze. Nie mógł odnaleść schodów; we wszystkich słynniejszych hotelach schody dziś wyszły z użycia, a hotelowi architekci usuwają je w najdalsze kąty, aby nie raziły oczu zepsutej, kosmopolitycznej publiczności.

Obszerny hotel Babilon o tej późnej godzinie zdawał się zupełnie pusty; gdzieniegdzie tylko świeciła lampa elektryczna. Po grubym dywanie kroki Racksola nie czyniły najlżejszego szelestu; chodził na prawo i lewo, częścią ubawiony, częścią zdziwiony panującą dokoła jakby tajemniczością. Zdawało mu się, że słyszy całe legiony nadziemskich duchów, schodzących cicho ze sfer górnych. W końcu odnalazł ciemne, wązkie schody i wszedł na pierwsze piętro. Przekonał się zaraz, że tam numery pokojów sięgają zaledwie cyfry siedmdziesiąt; poszukał innych schodów i dostał się na drugie piętro. Po kolorze ścian poznał, że jest na korytarzu, prowadzącym do jego pokoju, i zadowolony, gwizdać począł pocichu. Zdało mu się naraz, że słyszy kroki w poprzecznym korytarzu; jakby instynktem wiedziony, ukrył się w zagłębieniu, w którem stało krzesło do użytku usługującego kelnera. Wychylając ciekawie głowę, spostrzegł, że klamka na drzwiach jednych przewiązana była białą wstążką i usłyszał zaraz zbliżające się w tę stronę kroki. Po chwili Racksole ujrzał wychodzącego z bocznego korytarza Juliana, w kapeluszu na głowie, z rękoma w kieszeni, w zwykłem, noszonem na służbie ubraniu.

Milionerowi stanęły w pamięci słowa, wyrzeczone przez Babilona. Żałował, że nie miał przy sobie rewolweru; nie umiałby wytłómaczyć, dla czego zapragnął tej broni, znajdując się w jednym z pierwszorzędnych, używającym najlepszej sławy hotelu londyńskim, odczuwał jednak potrzebę takiego zaczepnego lub odpornego narzędzia. Ułożył naprędce plan działania: postanowił, że jeśli Julian koło jego kryjówki przechodzić będzie, uchwyci co za gardło i trzymając w ten sposób, zada wysoce zagadkowemu kelnerowi kilka stanowczych pytań.

Juljan zatrzymał się przede drzwiami z klamką przewiązaną wstążką, i naciskając ją z niesłychaną ostrożnością, wszedł pocichu do pokoju. Niebawem nocny włóczęga powrócił, zamknął drzwi z tą samą ostrożnością, z jaką je otwierał, zciągnął z klamki wstążkę, zawrócił i zniknął w poprzecznym korytarzu.

— To dziwne — mówił do siebie Racksole — bardzo dziwne!

Uznał, że wypada przekonać się, jaki numer nawiedzanego przez Juljana nocą pokoju; przystąpił do drzwi i stanął jak wryty.

Numer 111, zatem pokój jego córki! Próbował go otworzyć, ale drzwi były na klucz zamknięte. Pobiegł do swego pokoju, chwycił w rękę rewolwer (broń specjalnie używaną przez miljonerów) i podążył za kelnerem do bocznego korytarza. Tam, w głębi znajdowało się okno i przez nie, najspokojniej w świecie, wyglądał Juljan. W mgnieniu oka Racksole znalazł się obok niego.

— Słówko jedno, przyjacielu! — zawołał Amerykanin, poruszając niby odniechcenia rewolwer w ręku.

Juljan, zaskoczony niespodzianie, nie stracił przytomności umysłu.

— Słucham pana — rzekł.

— Radbym wiedzieć, coś u djabła robił przed chwilą w pokoju pod numerem 111?

— Wzywano mnie — brzmiała spokojnie odpowiedź.

— Jesteś kłamcą, a w dodatku ograniczonym kłamcą. To pokój mojej córki. Teraz mów prawdę, inaczej zastrzelę cię jak psa, lub wyrzucę przez okno na bruk uliczny.

— Przepraszam pana, ale numer 111 zajęty jest przez mężczyznę.

— Przestrzegam, że niebezpiecznie chcieć ze mnie żartować. Nie radzę ci czynić takiej próby. Pójdziemy razem do rzeczonego pokoju i przekonamy się, czy zajmuje go mężczyzna, czy też moja córka.

— To niemożliwe, panie.

— Zobaczymy! — odparł miljoner i pociągnął kelnera za rękaw.

Wiedział napewno, że Nella zajmowała numer 111; oglądał pokój razem z córką, a sam dopilnowywał złożenia w nim kufrów, przywiezionych przez służącą.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Druk W. Korneckiego w Krakowie.